

Po samodzielnym poznawaniu Tunezji taksówkami, luażami i pociągami, zdecydowaliśmy się załapać na dwudniową, zorganizowaną wyprawę na Saharę. Na południe jechaliśmy przez dłuższy czas autostradą. Pierwszy przystanek był w El Jem.

To dawny rzymski amfiteatr podobny do Coloseum w Rzymie. To tutaj kręcono podobno sceny do "Gladiatora" czy "Quo vadis". Wśród ruin widać dobudowane na potrzeby planów filmowych betonowe elementy widowni. Można zwiedzić m.in. podziemia w których gladiatorzy przygotowywali się do walki.

Cały obiekt zachwyca swym ogromem i rozwiązaniami konstrukcyjnymi. Zastanawiają rozwiązania logistyczne i drogi bezpieczeństwa dotyczące ewakuacji kilkunastotysięcznego tłumu, które do dzisiaj inspirują projektantów nowoczesnych stadionów.

Sam amfiteatr stoi w niewielkiej miejscowości, która i dawniej nie należała do znaczących. Skąd zatem tutaj taka inwestycja na miarę Rzymu? Otóż sfinansowali ją bogaci posiadacze gajów oliwnych dla własnej rozrywki, by nie musieli jeździć do Rzymu aby zobaczyć walki gladiatorów.

Kolejny przystanek mieliśmy na zakupy zapasów wody i przekąsek w Al Maharas. Moją uwagę przyciągnął stojący tuż przy głównej drodze olbrzymi szkielet wieloryba, przy którym na ławeczce siedziało trzech sędziwych panów. Dowiaduję się, że jakiś czas temu ten okaz został tutaj upolowany przez miejscowych rybaków i cała wioska się nim mogła wyżywić przez dłuższy czas.

Jedziemy dalej. Mijamy gaje oliwne, drzewa eukaliptusowe, przydrożne nasady kwitnących opuncji. Jest całkiem zielono. Ale im dalej na południe, tym bardziej krajobraz się zmienia na uboższy. Zaczynają się długie połacie pustynnej ziemi, porośniętej coraz uboższą roślinnością kserofityczną.

Dojeżdżamy do Matmaty na obiad. Na przystawkę jemy oczywiście brika popijając białym, dość dobrym winem. Na danie główne kosztujemy kuskus z warzywami i kawałkami baraniny. Po sytym posiłku ruszamy w dalszą drogę.

Nasz autokar dzielnie wiezie nas po krętych drogach gór Matmaty. Coraz częściej pojawiają się wydrążone w skale domostwa troglodytów, którzy skrywali się w tych niedostępnych rejonach przed kolejnymi najeźdźcami, Turkami, Arabami czy Francuzami. Do dzisiaj można spotkać rodziny, które zdają się żyć jak dawniej, choć w niektórych osadach widać wpływ cywilizacji, jak anteny satelitarne nad kopułą ziemianki czy telewizor wewnątrz skalnej jaskini.

Nasz przewodnik, Tunezyjczyk, który studiował w Polsce i ożenił się z Polką, po czym powrócił do rodzinnego kraju, dobrze mówi w naszym ojczystym języku. Obiecuje, że pojedziemy do rodziny berberów, która faktycznie żyje w osadzie w tradycyjnym stylu. Twierdzi, że jest sporo osad berberskich, które są atrakcją turystyczną, swoistymi skansenami, ale życie jest tam pozorowane na potrzeby dających bakszysz turystów. Wieczorem tzw. tubylcy udają się do swoich normalnych, murowanych domów, by następnego ranka powrócić do jaskiń znów odgrywać swoje role.

W osadzie spotykamy matkę z trójką dzieci. Mały chłopiec pokazuje nam małe szczeniaki i swoje króliki w małej, wydrążonej w ziemi studni zastępującej klatkę. Bardzo się przejmuje rolą przewodnika, ale jest całkiem sympatyczny i naturalny. Jego dwie trochę starsze siostry, zdają się być poirytowane wizytą turystów i zachowują się dość chłodno, choć udaje nam się je namówić na sesję fotograficzną, podczas której na chwilę pokazuje się na ich twarzach uśmiech. Na ile wymuszony, to już inna sprawa.

Matka rodziny, demonstruje nam na czym polega codzienna praca w takim gospodarstwie. Oglądamy zdjęcia wywieszane na ścianach. Malec częstuje nas zerwanymi właśnie z drzewa figami i pokazuje kran z wodą, gdzie możemy umyć twarz i ręce, co daje nam chwilę odświeżenia w dość upalny dzień. Zostawiamy po kilka dinarów wdzięczności i wracamy do autokaru.

Nie wszyscy byli przekonani, czy faktycznie oni tam żyją na co dzień, ale nam wydaje się, że wiele wskazywało na to że to prawda. Zdajemy sobie jednak sprawę, że z każdym rokiem, takie spotkanie będzie coraz trudniejsze i coraz mniej naturalne.

Zmierzamy wciąż na południowy-zachód. Po drodze widzimy dzikie wielbłądy pasące się wśród ubogiej roślinności na obrzeżu słonego jeziora. Wielbłąd to cenny majątek każdego mieszkańca tych ziem, ale te dzikie są pod ścisłą ochroną i za ich łapanie i niewolenie grożą wysokie kary więzienia. Kilka takich miejsc odoosobnienia widzieliśmy po drodze, niektóre przypominały ubogie resorty, choć były położone niedaleko kopalni, w których więźniowie odpracowywali swoje grzechy.

Monotonny krajobraz urozmaicają co jakiś czas przydrożne stoiska przemytników z w kanistrami taniej benzyny z Libii. Władze wiedzą o tym procederze, ale cóż mogą zaoferować tym biednym ludziom? Tu na południu każdy sobie radzi jak może. Trochę strasznie wyglądają też zarżnięte owce z wyprutymi flakami wiszące na rzeźnickich hakach tuż przy samym asfalcie. Nie wiem czy to po to, by wyeksponować przejezdnym, którzy mogą być zainteresowani zakupem, czy żeby mięso skruszało na słońcu, czy jeszcze z innych powodów. Widok dość makabryczny, w każdym bądź razie.

Docieramy do Douz. Przed nami wieczorna wyprawa po pustyni na wielbłądach. Dostajemy odpowiednie ubrania, przypominające oponczę i chusty na głowę. Po krótkim instruktarzu obsługi tego zwierzęcia wsiadamy na grzbiety dromaderów i w drogę. Musimy nauczyć się odpowiednio cmokać, by wielbłądy reagowały w odpowiedni sposób co nie jest takie proste. Mnie udaje się wydobyć odpowiedni dźwięk, dopiero po jakiejś godzinie niezbyt kontrolowanej jazdy.

Wkradamy się wraz ze zmierzchem w głąb pustyni. Pojawiają się coraz większe wydmy. Z horyzontu znikają jakiegokolwiek punkty odniesienia. Jesteśmy tylko my, wielbłądy i góry piachu. Nawet słońce powoli zachodzi za sklepienie nieba. Szybko zbliża się do nas tuareg na pięknym białym arabisie, oferując przejażdżkę galopem na jego koniu, ale nie ma odważnych.

Zaczynamy zawracać. Gdy docieramy do małej oazy, którą tworzy cztery palmy, zza jednej z nich szybko pojawia się sprzedawca coca-coli. Mruczając coś pod nosem, szybko wręcza mi w dłoń otwartą buteleczkę ciemnego, gazowanego, nawet chłodnego napoju. Nie odmawiam, bo jazda była dość męcząca. Po chwili żąda zapłaty 5 dinarów, czyli dwa razy drożej niż normalnie. Kwota do akceptacji jak na otaczające nas warunki, ale dla żartu okazuję zdziwienie ceną. On jednak ucina szybko: Sahara, Sahara.

Niestety okazało się, że portfel zostawiłem w autokarze. Informuje mojego pustynnego sprzedawcę o tym smutnym fakcie, co go bardzo nie przeraża. Zmierza za nami pieszo całą drogę powrotną. Po otrzymaniu żądanej zapłaty dziękuje i zmierza na powrót wgłąb pustyni, zmierzając chyba z powrotem na swoje miejsce handlu. Jeszcze trochę turystycznych grup na wielbłądach kręci się tam, więc pewnie uda się jeszcze komuś zręcznie wręczyć buteleczkę za 5 dinarów.

Po całym dniu wrażeń udajemy się do naszego hotelu "Tuareg" w Douz. Widząc basen dezydujemy się szybko na kąpiel, choć woda okazuje się dość zimna, ale nasze nagrzane, spocone ciała potrzebują takiej odmiany.

Padamy do łóżek, bo jutro pobudka o 4-tej rano. W planach wschód słońca nad słonym jeziorem Chott El Jerid, a potem safarii jeepami po Saharze i inne atrakcje.

Wstajemy przed świtem, by dotrzeć po godzinie nad słone jezioro. Chcemy zobaczyć tam wspaniały widok, jakim jest niewątpliwie wschód słońca. Niestety nie mamy szczęścia, gdyż jest zachmurzone niebo. Jednak miejsce i tak wprawia w nas w zachwyt. Gdzieś widać kałuże wody. Zostawione drobne przedmioty pokrywają okapy soli. Zero roślinności. Totalny brak życia. Przynajmniej nam się tak wydaje.

W miejscu, w którym się zatrzymujemy, niedaleko od jedynej drogi przecinającej jezioro Chott el-Jerid, inaczej Wielki Szot, stoi łódka z tunezyjską flagą na maszcie. To chyba taki dekoracyjny element dla turystów, by urozmaicić tło do zdjęć. Nie omieszkujemy też z tego skorzystać.

Po drugiej stronie drogi stragany z różami pustyni i polecane przez naszego tunezyjskiego przewodnika podobno najlepsze odmiany daktyli. Robimy zapasy i prezenty, których nie żałujemy. Daktyle wprost rozplływają się w ustach, są przesmaczne. Kilka opakowań bierzemy do domu. Po kilku dniach jednak, chyba po pewnym wysuszeniu, nie mają już tego delikatnego smaku.

Naszą uwagę zwraca też szeroki standard toalet, które są oferowane w zwykłej przydrożnej budzie. Różnica między Standart a Confort, jest chyba taka, że w jednej z nich jest muszla klozetowa, a w drugiej tylko dziura w ziemi.

Po skąpych w roślinność krajobrazach nad słonym jeziorem, powoli zaczynają się pojawiać zielone łąny drzew i traw. Teraz na naszej drodze znajduje się gaj plamowy z dziesiątkami tysięcy drzew owocowych, jak daktylowce, bananowce, granaty, figowce, cytrusy. W głąb tej olbrzymiej farmy docieramy bryczkami. Nasz woźnica z koniem Alibabą ma wyśmienity humor i cały czas śpiewa. Szybko się też uczy i powtarza za nami słowa piosenki "Obudź się czarny Alibabo". Jest wesoło. Dookoła wspaniałe palmy.

Wysiadamy z bryczki, by się przechadzać wśród bujnej roślinności. Próbujemy daktyli prosto z drzewa, ale są jakieś wysuszone albo niedojrzałe. Po raz pierwszy widzimy też owoce henny, z której robi się zmywalne tatuaże dla dzieci. Podziwiamy kolekcję ozdobnych róż. Oglądamy też pokaz wspinania się na palmę. Swoje umiejętności prezentuje sympatyczny staruszek z różyczką za uchem, który po chwili macha do nas z czubka palmy.

Wracając z gaju palmowego, który obejmuje obszar między Tozeur (Touzarem) a Degache, zatrzymujemy się na chwilę na drobne zakupy. Niektórzy pod wpływem zachwyty smakoszy, kupują daktyle, jeśli nie uczynili tego wcześniej. Inni nabywają szisze, ceramikę, róże pustyni i inne pamiątki.

Miasteczko jest zaniedbane, ale ma swój klimat. To nie nadmorski kurort, to prowincja. Ale trochę turystów się tędy przewija. Oprócz pracy w gajach palmowych, turystyka to główne źródło utrzymania, ale nie ma tu natrętów. Raczej znudzeni sprzedawcy koczują przy swoich straganach, czekając na zainteresowanych, niezbyt nawet zachęcając do zakupu, jak to robią pełnokrwisti handlarze na sukach.

W Degache przesiadamy się do jeepów. Starsze modele Toyot Land Cruiserów dostosowane do przewozu 7 pasażerów. Jazda nimi to sama przyjemność, choć mają swoje lata. Nasz kierowca ze złotym zębem, co jakiś czas się uśmiecha, gdy rozmawiamy po poslku. Niestety nie zna za grosz angielskiego, więc ograniczamy się do powtarzania fraz w stylu: super, bomba, ja ja, dawaj dawaj, co łapie w lot. Przejeżdżamy wzdłuż pasma Atlasu Tellskiego. Ciekawie wygląda góra zwana "grzbieciem krokodyla".

Po oazie wędrujemy z przewodnikiem, którego uczymy paru polskich, by mógł zdyscyplinować całą grupę. Co jakiś czas woła: Polska, dawaj, dawaj! Wcześniej wołał na nas: bystro, bystro, ale wytłumaczyliśmy mu, żeśmy nie Rosjanie.

Na szlaku dopadają nas dzieciaki oferujące malowane na fioletowo kamienie. Kupiłem taki jeden, chyba na odczepnego i włożyłem do kieszeni. Po chwili miałem fioletową plamę od piochtaniny.

Oaza jest przyjemna. Palmy, strumień wodny, wodospadzik. Na jednym ze straganów tablica reklamowa po polsku z pisanymi odręcznie hasłami w stylu; Najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny i moja herbata miętowa. Świadczy to chyba o tym, że coraz więcej Polaków tu zagląda.

Jedziemy do drugiej oazy Tamerza, tuż nad granicą z Algierią. Obserwujemy na grzbiecie otaczających gór ciekawe fałdy pionowe. Co jakiś czas mijamy znaki ostrzegające o wielbłądach, które w końcu udaje nam się dostrzec pasące się niedaleko naszej drogi.

Jest tam sporawy wodospad, pod który można zejść mimo barierek. Bez problemu można też się dostać do miejsca, z którego woda spada w dół, choć to dosyć niebezpieczne.

W drodze powrotnej z oazy po raz pierwszy dostrzegamy nad brzegiem słonego jeziora, dosyć wyraźne miraż. Słoneczne odbicia od pokrytej słońcą powierzchni wywołują złudzenia optyczne przypominające na horyzoncie brzeg morza, a nawet paliki sztormowe. Aż trudno w to uwierzyć, że tam naprawdę nie ma żadnej wody.

Dojeżdżamy do miejscowości Hammat-el-jerid, w której część z naszej grupy zostaje. Reszta, wraz z nami, rusza dalej na safari po pustyni do miasteczka z planu filmowego "Gwiezdných Wojen". Okazuje się, że to jedna z największych atrakcji podczas naszego pobytu w Tunezji.

Wjeżdżamy na odludne obszary na styku słonego jeziora i północnej Sahary. Kierowca okazuje się wytrawnym rajderem. Zaczyna się ostra jazda. Nasza terenówka rozpędza się zostawiając za sobą tumany pyłu. Pojawiają się pionowe górskie ściany, na które wjeżdżamy z rozpędu. Wszyscy krzyczą i śmieją na przemian.

W pewnym momencie zawisamy w powietrzu na jednej ze stromych ścian na chwilę w pionowej pozycji, po czym tyłem siła grawitacji ciągnie nas na ziemię. Kolejnym razem "Złoty ząb" wykonuje ten sam manewr, ale tym razem zamiast opaść w dół, dodaje lekko gazu i wtaczamy się na grzbiet tej stromej półki skalnej. Dalej jedziemy dość szybko, obok nas ciągnie się pionowa ścian, wjeżdżamy na nią jak bobsleiści wszystkim kołami, jakby zaprzeczając sile Newtona. Jedziemy tak ze sto metrów i znów wracamy na drogę. W aucie jeden wielki wrzask. Pokłady adrenaliny sięgają podsufitki.

Zatrzymujemy się na chwilę przy górze zwanej "głową wielbłąda". Fotografujemy naszych towarzyszy podróży w innych jeepach. Warto było się na coś takiego zdecydować i polecam każdemu, kto będzie miał taką okazję.

Wjeżdżamy jeepami na szczyt wielkich piaskowych wydm. Wychodzimy z aut, by pobaraszkować na piasku. Turlamy się z wydmy w dół, ale z wejściem z powrotem jest znacznie gorzej. Nogi zapadają się w piachu. Grzęźniemy, zamisat się wspinać w górę. Nie wyobrażam sobie marszu przez pustynię w takich warunkach. Zdajemy sobie sprawę jakie to trudne i jak szybko pozbawia wszystkich sił. Przemarsz po wydmach to całowite ekstremum.

Docieramy do planu filmowego Star Wars. Miasteczko rodzinne Skywalkerów, lepiej prezentuje się w filmie niż w rzeczywistości. Wewnątrz pomarańczowych lepierek widać drewniane wzmocnienia całej konstrukcji. Wszystko wydaje się być wykonane najtańszym kosztem, choć podobno na potrzeby filmu utwardzono kilkanaście kilometrów drogi przez pustynię, którą tu dojechaliśmy.

W drodze powrotnej z Ong Jemal napotykamy tuż przy drodze stado dzikich wielbłądów, w tym ciężarną samicę. Na miejscu dowiadujemy się, że znajomi z jeepów za nami byli świadkami jak ona właśnie urodziła małego. Mieli szczęście, bo to coś niesamowitego.

To już drugi dzień z rzędu pełen emocji, ciekawych miejsc, mnóstwa wrażeń i przeżyć. Czas na obiad, na który zatrzymujemy się w Gafsie. Jemy w restauracji w komfortowym hotelu Joghurta Palace. Pięknie zdobione wnętrza, wysokie fotele, smaczne jedzenie.

W maisteczku widzimy z okien autokaru, stłuczkę i ostrą wymianę zdań. Po chwili poszkodowany kierowca pakuje zderzak do bagażnika i bez zbędnych formalności jedzie dalej. Patrząc na styl jazdy Tunezyjczyków trzeba mieć nie lada odwagę by poruszać się tutaj samodzielnie wynajętym autem. Na drodze wydaje się czasem, że tutaj żadne przepisy nie obowiązują. Trąbi się wszędzie i z byle powodu. Jako pozdrowienie i jako ostrzeżenie lub wyraz irytacji. Dźwięk klaksonów na drodze czy

w miasteczkach to norma.

Czas w drogę powrotną. Po sytym obiedzie, chętnie zapadlibyśmy w drzemkę. Tym bardziej, że zaczyna zmierzchać. Przed nami jeszcze kawałek drogi i jeden punkt programu. Wielki Meczeta w Kairouan, czwarte święte miejsce muzułmanów po Mekce, Medynie i Jerozolimie.

Gdy dojeżdżamy do miasteczka jest już całkiem ciemno. Niektórzy nawet nie wysiadają z autobusu. My idziemy zrobić nocne foty ciekawej iluminacji meczetu. Możemy go podziwiać jedynie z zewnątrz, gdyż o tej porze jest już zamknięty do zwiedzania. Trochę szkoda, ale nie można mieć wszystkiego. I tak doceniamy już to co nam się udało zobaczyć w ciągu tych dwóch dni wycieczki na Saharę.